№ 21. Warszawa, dnia 29 Lutego / 12 Marca 1872 roku. Tom I. — Rok I.

WIENIEC

PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs 5 kop. 40. półrocznie rs. 2 kop 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 77.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznańskiem: u F. H Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

PYTANIA CZASU.

I.

Stosunek społeczeństwa do kwestyj na dobie.

W świecie zjawisk moralnych zdarzają się niekiedy złudzenia podobne do tych, jakich doznaje niedoświadczony widz, przypatrujący się na obszernéj płaszczyźnie mglistym punktom, które gotów zrazu uważać za rzeczy absolutnie drobne i nieruchome. Dopiero póżniéj gdy sam postąpi naprzód, lub gdy oddalone przedmioty zaczną zbliżać się ku niemu, spostrzega swoją omyłkę: rozpoznaje wspaniałe kształty gmachu, lub szybki pęd parowozu. A w gmachu tym ważą się może losy niedomyślnego przechodnia, a lecący z wichrami w zawody pociąg, może przynosi mu w téj chwili wieść nadzwyczajną, wyrokującą o całéj jego przyszłości.

Widz nieprzeczuł, niezrozumiał; fakta w całym ogromie swoim wynurzyły się przed nim nagle, rzeczywistość ukazała się niespodzianie jego oczom. Tak dzieje się właśnie z *pytaniami czasu.*

Któż z umiejętnych a sumiennych badaczy śledzących pochodzenie historycznych zdarzeń, potrafi ściśle określić pierwotną istotę zarodka, z którego wyłonił się dojrzały już po wiekach plon dziejowy? Kto powie, w jakiéj mianowicie porze owo życiodajne ziarno rzuconém zostało do łona ludzkości? Kto zgadnie jak długo w spokojném kiełkowało ukryciu? Lekceważyliśmy latorośl, a mimo naszéj wiedzy i woli mała roślina wybujała na uboczu, rozwinęła się w liście i w kwiaty — i teraz posyła ku nam swój trujący wyziew lub woń rozkoszną. Kto oglądał wschód téj wegetacyi, kto przekazał pamięci potomnych oznaczony co do roku i dnia moment zasiewu?...

Początkowy rozwój idei odbywa się w cieniu i w ciszy. Tłum nie zwraca na nią oczu, nie wytęża uwagi, aż długo zapoznawana w swéj dzielności, stanie przed nim wreszcie murem nieprzebytym, lub zmusi go do usunięcia się z drogi, parta siłą opanowanych przez siebie żywiołów. Właściwość prawa perspektywy, ograniczona zdolność spostrzegania, nieświadomość, rzekłbym, naiwność ludzka — oto przyczyny niespodzianki.

Niespodzianka ta najczęściéj nie jest przyjemną. Żyliśmy dotąd spokojnie, nie ślęcząc nad żadną narzuconą nam ni ztąd ni z owąd łamigłówką, a chociaż zdarzały się ważniejsze trudności mieliśmy zawsze dość czasu obejrzeć je zewsząd, naradzić się ze starszymi, dowiedzić się czegoś od bywalców, dopełniając reszty własnym konceptem. I szło jakoś, nie można powiedzieć zupełnie gładko, ale przynajmniéj.... tak sobie—znośnie. Aż na raz rzuca ci ktoś słówko, np. z dziedziny ekonomicznéj. Ekonomia nie twoja rzecz, nie uczyłeś się jéj w domu, skądże masz wiedzieć o niéj za domem? Twoja rzecz przemysł, rolnictwo, handel t. j. wyroby sukna i świec, najęcie kosarzy i dopatrzenie pługów, sprzedaż zyskowna wełny, zboża, okowity... Frasunku już i tak co niemiara — po co tu jeszcze zaprzątać się ekonomią? A tymczasem ona z książki gdzie było jéj najprzyzwoiciéj ciśnie się i do fabryki, i na pole i do kramu; lezie ci na kark nie tylko w nudnéj gawędzie z piśmiennikami, ale pod postacią zapłaty i pracy, kapitału i procentu, ceny i wartości, pod postacią finansowych przesileń, bezrobocia, i bankructwa. Dawniéj rozumiałeś tę kwestye, bo głębsze o nich teorye krążyły tylko w akademiach, lub grzebano je w grubych tomach pisanych dla uczonego cechu. Teraz zaś, gdy zeszły na niwę praktyczną jako pytania czasu, tyle do nich przywiązano nowomodnych pojęć że tracisz się jak w lesie. Teraz już ani bogatym, ani zasłużonym, ani sprawiedliwym po dawnemu być nie możesz. Gdy dajesz ludziom sposobność zarobkowania, teoretycy krzyczą, że wyzyskujesz pracę, gdy wspierasz nędzę ofiarą, wołają że pobłażasz próżniakom. Zaledwie szlachecki twój krewniak pojął za żonę nieherbowną dziewicę, już nadobne kuzynki żądają dla siebie togi i biretu. Ledwie wysłuchałeś rozgwaru o wszechzwycięzkich prawach serca, już postawiono przed tobą inne pytanie czasu: osobisty interes. Pozbyłeś się Woltera, masz Hegla; pozbyłeś się Hegla, masz pozytywizm i Darwina. Cieszysz się nadzieją, że i ta osobliwość przeminie z kolei, ale trudno ci nie widzieć że po przebrzmiałéj sławie nowatorów pozostało wszakże w świecie coś, co już nazawsze oddziela jeden okres historyi od drugiego...

Nad zawiłym stosunkiem publiczności do zadań cywilizacyi jeszcze niewyjaśnionych, lecz już gwałtem wkraczających w życie, bliżéj zastanowić się wypada.

Nie naprożno mówimy że prawda starą jest jak świat, jest ona nawet od niego starszą, jeśli w odwieczność materyi wierzyć nie należy: starszą bo jako duchowy motor, jako wszechwładne i wszechtwórne prawo poprzedzać jego początek musiała. Pod słońcem nie ma, zaiste, nowych rzeczy; są tylko nowe odkrycia, nowe przewroty w zaprowadzanym *przez ludzi* porządku, nowe nabytych wiadomości zastosowania; są tylko prawidłowe postępy i chybione roboty w stosunku *do celów ludzkich*, są nakoniec pewne pogwał-

cenia pojedynczych procesów przez sztuczne rozwijanie lub stawienie im-oporu. Człowiek nie rządzi przyrodą według własnego widzimisię, lecz posługując się środkami naturalnémi, wyzyskuje własności przedmiotów, łączy lub przeszkadza łączeniu się czynników samodzielnych, których ani stworzyć, ani zniszczyć, ani przeinaczyć nie jest wstanie. Zbadawszy tajemnice natury, skierowywa on jéj siły na swoją korzyść, ale na co ona pozwoli, to tylko stać się może. Jeśli zdołamy znaglić lub powstrzymać w jakimbądź danym wypadku zwyczajną jéj funkcyę, staje się to w skutek pobudzonego przez nas uczestnictwa innych praw przyrody. Za jéj przyczyną otrzymujemy np. węgiel, popiół, materyał stolarski i t. p., tak samo jak pielęgnując dawniéj drzewo w ogrodzie zbieraliśmy z niego owoce. Czy jednak wpływając na różnice produktów zapanowaliśmy nad naturą choć w jednéj okoliczności? czy ustanowiliśmy choć raz *nasze własne* prawo? czy możemy ukazać na jakąbądź prawdę, któraby w nas wzięła źródło i była naszém wyłącznie dziełem? Bynajmniéj. Zamiast panowania, poddajemy się ciągle żelaznéj konieczności, zamiast obdarzać, wyciągamy sami dłoń po jałmużnę, zamiast mistrzować, uczymy się w pocie czoła pierwszych liter bożego abecadła. Skłaniając nawet działanie natury do naszych widoków, i wtedy czujemy bierność naszego wpływu, czujemy, że na odszukaniu praw wiecznie istniejących zatrzymuje się tak zwana twórczość umysłu ludzkiego.

Nie odrazu zatém, i tylko przez pomnażanie wiadomości, ludzkość przyswaja sobie wszelkie prawdy, a więc i te o które nam tu przedewszystkiem chodzi: prawdy moralne. Skoro wynalezione, lecz niechętnie na wstępie przyjmowane zasady zjednały nareszcie sankcyą większości, stają się one powoli gruntem ogólnych wyobrażeń; nikt się im nie dziwi, nikt nie zaprzecza. Zasady te tkwią w przekonaniu powszechném jako pojęcia proste, konieczne i niewzruszone. Owszem, zdaje się, że potrzeba było zdumiewającego zaślepienia, żeby w pierwszéj zaraz chwili ich nie uznać. A przecież nie podlega wątpieniu, że dzieliły one niegdyś bratnie społeczeństwa, na wrogie stronnictwa!.... a przecież prędzéj czy późniéj ludzkość może znowu zwróci się ku nim z niewiarą: przekształci je lub odrzuci zupełnie. I nie będzie to zaklętém kołowaniem na miejscu, lecz dalszym postępem, wyższym stopniem światła, cnoty, sprawiedliwości — wyższym, odnośnie do naszych pojęć, jak nasze pojmowanie doskonalszém jest, bo świadomszém, od poglądów używających powagi w epokach dawno minionych.

Niezamierzamy atoli utrzymywać, żeby *wszystko* co dziś uważa się za prawdziwe, słusznie kiedyś potępioném być miało. Przeciwnie. Rdzeń prawdy, około którego gromadzi się wiele znikomych naleciałości, przetrwać musi wszelkie przeobrażenia, bo każda prawda jest nieśmiertelną...

Tu jeszcze zauważyć trzeba, że wyrazem *prawda*, oznaczają się zwykle dwa pojęcia: ludzkie pewniki, które mogą z czasem nie wytrzymać surowszéj próby i prawa rzeczywistości ściśle uzasadnione i niezmienne. Sceptycyzm zatém w wielu razach ma ważne powody niedowierzać temu, co wiedza za szczegół nieomylny podaje, ale rozsądna wątpliwość, ściągać się tylko powinna, do mniemań ludzkich, nie zaś do prawidłowości natury. Jakoż, zmieniając zdanie o rzeczach, przeświadczamy się, że jedynie umysł nasz był zwiedzionym uprzednio pozorami, nic zaś nie każe nam przypuszczać bezładu w ustroju świata. Wszystko czém jesteśmy otoczeni, czego doświadczamy moralnie i co uderza nasze zmysły, wykonywa się według stałéj, z góry nakreślonéj normy; o ile zdołamy ją przeniknąć, o tyle wyobrażenia nasze mają rękojmię trwałości, o tyle też praca podejmowana w różnych czasach, nie jest dla cywilizacyi straconą. Nadto dając spółczesnym cząstkę korzyści, do któréj w życiu swojém dążyli, każda praca godziwa i na rozsądku oparta, zasila jeszcze skarbem nauki zabiegi późniejszych działaczy. Sprostowania i zmiany, jakich wymaga przyszłość, nie są więc oczywiście żadnym wyrzutem dla przeszłości. Co w rannéj pomroce czasów było rozpoczętém, to w dzień biały uskutecznia się w dalszym ciągu; co poprzednicy spostrzegli na odległą metę, to następcy badają zblizka, korzystając przytém z dawniéj przysposobionych wskazówek; w czém jedni zbłądzili przez niewiadomość, tego już drudzy nauczeni przykładem mają możność uniknąć.

Byłoby niedorzecznie zrzekać się bogatéj spuścizny światła i doświadczenia, zostawionéj nam przez starszych pracowników; byłoby również niedorzecznością, a co więcéj, grzechem względem potomnych, nie rozszerzać w miarę środków i nieulepszać duchowego dziedzictwa.

Z tego stanowiska oceniając potrzeby i wynikający z nich obowiązek pokoleń (bo należycie pojmowany obowiązek wypływać zawsze musi z istotnéj potrzeby, jako zadośćuczynienie tejże), trudno nie przyznać, że najjawniejszém zaparciem się przeznaczeń ludzkości, jest obojętność dla usiłowań postępu, niechęć pochodząca z uprzedzenia, lub gwałt wyrządzany doskonalącéj się myśli. Bo jeśli zgodzimy się na to, że dotychczasowa mądrość ludzka nieogarnęła całości stworzenia, jeśli widoczném jest, że poprzestawać na tém, co zdołaliśmy poznać dotąd, znaczyłoby przyjmować ryczałtem tysiące niezgodnych świadectw; jeśli w takim razie zagrażałaby nam z jednéj strony ustawiczna niepewność, z drugiéj niebezpieczeństwo omyłki, z trzeciéj ciągły spór o zasady wybrane na chybił-trafił gwoli interessom życia, z czwartéj niepokój sumienia, a każda z tych klęsk wiodłaby jeszcze za sobą inne klęski—zgoła, jeśli zastój lub próżne szamotanie się w karbach odrodzonéj scholastyki, sprowadziłby jeno pleśń i chwiejność.... niemylny znak zbutwiałości podstaw, — to godziż się jeszcze powątpiewać jak nieodzowném jest wzmacniać te ostatnie przez nową pracę i świeże materyały? Nie opieramy się tu na przypadkowém podobieństwie, ani podajemy naszych przenośni i porównań za dowodzenie. Chcemy tylko o ile można dokładniéj przedstawić teoretyczny wątek poruszonéj przez nas kwestyi.

Cofnąwszy się o kilkanaście wieków w historyę, wyobraźmy sobie, że ktoś z uczonych owego czasu, odgadłszy na mocy prawdopodobnego rachunku wyniki naukowe naszéj epoki, ma odwagę przyznać się do swoich wniosków publicznie. Przypuśćmy, że śmie on zapowiadać możebność żeglugi bez wioseł i żagli, szybkość lądowéj podróży bez pomocy zaprzęgu, sposobność porozumiewania się o setki i dziesiątki setek mil w ciągu niewielu godzin; że domyśla się plam na słońcu, wirowania ziemi, ciążenia ciał; że wróży odkrycie nowego świata, wynalazek balonów—przewiduje równouprawnienie stanów i t. p. Nie obudziłażby jego hypoteza zgrozy w słuchaczach? nie ściągnęłażby nań gniewu dostojników i prześladowań pospólstwa? Odpowiedź na to znajdujémy w księdze dziejów, z któréj nie jedna karta mogłaby posłużyć za akt oskarżenia w téj sprawie. Wszakże w opinii swoich spółczesnych Sokrates był zbrodniarzem, Kolumb marzycielem, Kopernik i Galileusz heretykami, że nie wspominamy o innych ofiarach ślepego fanatyzmu i ciemnoty.... Imiona głośne, wypadki znane — przestroga wyraźna!

— Ale czy z niéj, jak należy, korzystamy?

I na to pytanie odpowiada historya, gruntując się na faktach najświeższéj daty. Ubecnia ona w naszéj pamięci mnóztwo reform, ściągających się do prawodawstwa, do instytucyi, do zasad ekonomii politycznéj, do literatury, estetyki, filozofii, socyologii, krytyki, do nauk ścisłych i moralności. Niektóre z tych reform spełniły już swoje zadanie i stanowią chlubny nabytek szerzącéj się oświaty; inne zaś oczekują kolei sposobiąc się do współudziału w poważnych pracach ludzkości. Są to jak powiedzieliśmy owe drobne punkta widziane zdaleka: antagonizm zachowawczy odmawia im rozmiarów i ruchu, gorączkowi harcerze zarzucają powolność. Cierpliwości panowie! Pytania czasu rosną wciąż na sile, na okazałości... Ciężką falangą kroczą one po wytkiętéj drodze, nie troszcząc się czy będą dostrzeżonemi w porę przez krótkowidzów, ani też zważając na hasła uwijających się po manowcach włóczęgów. Kroczą..... posuwają się ku nam widocznie, chociaż trudno było upewnić się wcześniéj, że się z miejsca ruszyły. Ha!... i może nie nasza, a już niezawodnie nie ich w tém wina.... Właściwość perspektywy, panowie!

Nie my pierwsi, nie my ostatni ścieramy się z tą kłopotliwą drużyną, któréj pozbyć się niepodobna, a niewiemy jak sobie z nią radzić. Sprobujmy ją usunąć — a obali nas i zdepcze, usuńmy się sami — odejmie nam możność użycia naszych zdolności, i zrozumienia tego, co się w około nas dzieje; postarajmy się nią owładnąć przemocą— wymknie się nam z rąk lub pociągnie za sobą w nieznane obszary. Wszelka neutralność równa się tu abdykacyi, nieprzyjaźń ukryta naraża na niedogodności walki jawnéj, niezręczna gorliwość okrywa śmiesznością, nie mówiąc już o gorszych jéj skutkach. I tak źle, i tak nie dobrze...

— Co począć z tym fantem? myślisz sobie— i nie mogąc jąć się skuteczniejszego środka, dajesz za wygranę szlachetnéj żądzy uczestniczeni w mozołach braci, przyczem unikasz pilnie wi doku, który cię drażni, lub trwoży. Jak ślimak niosący na grzbiecie dom swój wszędzie, gdzie się obróci, cofasz się w skorupę obojętności za lada dotknięciem się obcego ciała... Postąpiłeś samolubnie, jesteś zbiegiem o zajęczém sercu, niedołęgą i pasożytem bez godności, ale zdaje ci się przynajmniéj, że odtąd czas twój, kierunek życia prywatnego i spokój rodziny od ciebie tylko zależą....

Nie!... omyliłeś się. Okrążony atmosferą stulecia, nie zdołasz oczyścić domowego powietrza z atomów krążących w całéj przestrzeni. Gniazdo twoje, które przeistoczyłeś w rodzaj pneumatycznego dzwonu na stałym lądzie, nie oprze się elementom wciskającym się przez najmniejszą szczelinę, przetrwawiającym najtwardsze tamy. Niedość, że wniosłeś do sztucznego schronienia to, od czego uciekałeś: nie dość, że wchłaniasz w siebie co chwila niemiłe pierwiastki, ale wkrótce jeszcze doznać musisz ich oddziaływania. Jeżeli jesteś istotą żywą i nielekceważącą życiem, zyskałeś tyle tylko na swém odosobnieniu się, żeś przez czas jakiś dusił się nadaremnie.

Lecz oto znużyła już cię próba; dałeś folgę myśli, uczuciu; zapragnąłeś odetchnąć pełnemi piersiami, postanowiłeś urzeczywistnić jakiś chociby najskromniejszy ideał. Znowu sądzisz, że nie sięgając zbyt wysoko, nie wydalając się za krańce znajomego horyzontu, potrafisz dojść do zamierzonych celów, nie potrąciwszy o przedmiot swéj bojaźni i wstrętu. Przystępujesz do strudzonych towarzyszy, żeby podzielić ich znoje—

i spotykasz.... widmo pytań czasu. Chcąc przynieść ulgę cierpiącemu, szukasz przyczyn jego bólu, słabości, rozpaczy — i taż sama zmora wyrasta przed twemi oczami. Nim zajmiesz miejsce poczesne wśród mężów czynu musisz oświadczyć się za, lub przeciw dążnościom, które usiłowałes omijać. To cię gniewa, zniechęca, oburza...

— Świat się na nas kończy! utyskuje pedogryczna starość na nieograniczonym urlopie.

— Świat się od nas zaczyna! drą się w niebogłosy niezgrabne ciury z przeciwnego obozu.

A jednak nie jest to ani *początek*, ani *koniec* świata: to tylko *dalszy ciąg* jego, prawidłowy i nieruchomy.

Die Weltgeschichte ist das Weltgericht! wyrzekł poeta. Słowom jego wtórzy myśliciel, słowa te stwierdza także doświadczenie, pomimo że ów trybunał nie wymierzył dotąd zupełnéj słuszności ani ludziom pojedynczym, ani zbiorowo wziętym.

O słuszności mówić nie będziemy. Bezwzględna słuszność byłaby bezwzględną doskonałością o jakiéj śmiertelnicy zaledwie marzyć mogą. Byłaby to otrzymana ostatecznie ilość cywilizacyjnych zdobyczy, uwieńczenie najświętszych życzeń, najzuchwalszych nadziei. Bezwzględna słuszność—to poznanie i ujęcie wszystkich tajemnic natury, wszystkich prawd które udzielają się nam pod wagą i miarą. Względne zaś, częściowe objawienia rzeczywistości uczą nas tego jedynie, czego tymczasem nauczyć się możemy.

Wskazują one najprzód, że wzrost ludzkości jak i wzrost osobnika na różnych swoich stopniach wciąż odmienne wysnuwa ideały. Inaczéj sądzi, wierzy i pragnie dziecię, młodzieniec, człowiek dojrzały; inaczéj koczujący poganin, inaczéj znowu plemiona osiadłe, chrześciańskie, stosunkowo oświeceńsze i bądź co bądź moralniejsze.

Wskazówki rzeczywistości świadczą bowiem daléj: że ludzkość zostawiając po za sobą przeżyte wieki i zużyte formy, oraz wyzuwając się z dawnych swoich sądów i przesądów, rozwija jednocześnie i wyrabia potencyonalnie złożone w sobie siły; że pominąwszy chwilowe bałamuctwa i zboczenia, któremi tak często szermuje historyczny pessymizm, staje się ona w danym okresie, albo już *moralniejszą*, albo bardziéj gotową do umoralnienia się w przyszłości.

Ztąd wywiązuje się pytanie—ach, tak! jedno *z pytań czasu*, co jest większą, a co mniejszą, co istotną, a co fałszywą moralnością? Pytanie trudne i dla tych, którzy zdają sobie kategorycznie sprawę z wrażeń swoich, myśli i uczuć — bodaj, najtrudniejsze do wyjaśnienia. Nie wzywając na pomoc powagi uważanéj *à priori* za nieodwołalnie rozstrzygającą, możnaby na dobre ugrzęznąć w odmęcie, gdyby nie ta pewność że jedność myśli i bytu, czyli prawdy ludzkie są tylko niejasnym odbiciem prawdy bożéj, odbiciem atoli coraz wyraźniejszém w miarę nagromadzania się skarbów wiedzy, w miarę pracy i dobréj, (nieupartéj i nielękliwéj) woli przewodniczącéj badaniu,

W tém zasługa, w tém doniosłość, w tém także całe niebezpieczeństwo i drażniące własności pytań czasu. Ludzkość istnieje i postępuje ciągle, człowiek zaś śmiertelny pamięta o krótkiem swém życiu, i radby zawrzeć w niém, o ile można najwięcéj treści, to jest najwięcéj rzeczy istotnych i absolutnych, a nie przemijających tylko i warunkowych. Naginając rozpaczliwie bezmiar do swojéj skończoności, radby człowiek to co mu pod pewnym względem dostępne zagarnąć na wyłączne posiadanie, a co raz uświęcił u siebie uczynić obowiązującém powszechnie. Pytania czasu dotykają zatém najczulszéj w nim struny, stawiąc przeszkody obu życzeniom, a dotykają tém boleśniéj, że częstokroć już nie pora i sił nie starczy podołać nowemu zadaniu. Cóż to? On, ograniczony w swéj doczesności i w zakresie swych działań miałżeby produkować środki dla innych nie osiągając celów dla siebie? miałyżby jego osobiste zachody, jego zamiłowania i sądy być formą przejściową, jednym z momentów ogólnego rozwoju?... Tu leży psychiczna podstawa konserwatyzmu, tu także źródło drugiéj ostateczności: niewiary we wszelką prawdę.

Konserwatysta przecież i sceptyk omyliwszy się jednakowo i na tymże samym punkcie, wcale niejednakowym rządzą się trybem. Krańcowy sceptycyzm z niedokładności wiedzy wnosi o jéj zupełnéj niemocy i lekceważąc chwiejące się zasady nie ma powodu spodziewać się trwalszych; gdy na odwrot krańcowy konserwatyzm strzegąc interesów chwili, zasłania swoje wierzenia przed każdą, choćby prowadzącą ku lepszemu zmianą. Dla sceptycyzmu, pytania czasu są nowym dowodem upadku, dla konserwatyzmu nową groźbą rozkładu. Wpływ obu systematów okazuje się zarówno nieprzychylnym postępowi, już to kopiąc przed nim doły zwątpienia, już piętrząc się stromą opoką namiętnéj zachowawczości.

Całkiem przeciwnie rzecz ta przedstawi się, skoro pomni na wzmiankowany wyżéj stosunek kształcącéj się wiedzy do niezmienności praw, będziemy wiedzieć w pytaniach czasu wytyczne znaki cywilizacyi, których niedość, że bez baczenia pozostawić nie możemy, ale owszem według nich kierować się nadal powinniśmy. Z czego kuje oręż szyderstwo, a czém gorszy się duma, w tém właśnie umysł trzeźwy i czynny czerpie otuchę. Umysł taki rozumie, że dostatek przysporzony trudem jednego pokolenia, nie jest sponiewieranym przez to, że pokolenie następne nieutrzymuje przekazanych sobie zbiorów w dawnéj formie, podobnie jak praca młynarza niszcząc na pozór plon siejby i żniwa nie staje się względem pracy rolnika swawolą... *sui generis* radykalizmu. Rozumie umysł taki, że pytania czasu ujawniając niedostrzeżone dotąd potrzeby społeczności wkładają już tém samém na jéj członków obowiązek poszukiwania odpowiednich środków; i że to poszukiwanie nie natychmiast bywa uwieńczone pomyślnym skutkiem. Rozumie nakoniec możność zbłąkania się na nieznaném polu, i dla tego żąda dla siebie i dla innych kontroli, lecz wie zarazem, że cofać wyroków wyższego porządku nie wolno, nie należy, i zresztą, na nic się to nie przyda.

Trzeźwy i czynny umysł wspierany zdolnościami, ostrożny w spełnianiu swéj missyi i działający zawsze z dobrą wiarą wita w pytaniach czasu zakład przymierza między człowiekiem a Stwórcą, między myślą badającą, a Mądrością poznawaną. Dla niego nie ma sprzeczności, w naturze; on mierzy tylko swoje siły i ocenia trudność ogadnienia tajemnicy. Co może dziś być zrobioném—robi dzisiaj, co przekracza obecną możebność — to poleca przyszłości. Pytania czasu określają jego powinność, jego publiczną, życiową służbę. Czy zdoła przynieść bezpośredni pożytek, czy ma jeno wesprzeć usiłowania innych, o to mniejsza, byle wiedział ku czemu zwrócić swoją dążność. Spełnione przedsięwzięcie będzie przecież koroną wspólnéj zasługi, wspólnym wszystkich ludzi i wszech wieków nabytkiem!

Nie tak trzymają o tém obrońcy nietykalności zasad. Korzystając bez skrupułu z materyalnych zysków nauki, radzą oni obchodzić się z nią jak z narzędziem, którego funkcyę sami oznaczamy. Każą wczytywać się w literę, lecz zamykać oczy na ideę. Spotężniona produkcya, ułatwiona komunikacya... nie są to drobnostki do odrzucenia. O, wcale nie! Machina daje mienie i wygodę, machinę uszanować można — ale ideał!... Zresztą, przyzwyczaiwszy się do szybkiéj jazdy, do wykwintnych mieszkań, do pięknych strojów i wytwornego jadła, nie przyjemnie byłoby karmić się spartańską polewką lub paść labanową trzodę na sposób patryarchalno-sielankowy. Powóz, pałac, kolej żelazna, francuzki romans, giełdowa gazeta, fotele na sprężynach, pasztety i wina— to niezaprzeczenie oświata, wysoka oświata; szaspoty, torpille, mitraljeza — to oświata jeszcze.... Ale mój Boże,—idea!

Idea, to wierutny ambaras, gmatwanina, któréj za ciebie nikt w głowie twéj nie rozplącze; orzech, którego przy pomocy najsilniejszéj machiny nierozłupiesz; to utrapienie i basta. Strzeż się jéj jak ognia, strzeż od nich swoich synów i swoje córy, rozciągaj sieci, staw samotrzaski! Gdy po latach wnuk twój tą drogą przechodzić będzie, znajdzie ślady przezorności przodka. Wnuk twój uwikłany w misterne dzieło dziadowskiego kunsztu, najlepiéj powie ile ono warte.... *Die Weltgeschichte ist das Weltgericht!....*

(d. c. n.)

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy. Ob. Nr. 20.)

Słów tych domawiając nim tamten śmiechu głośnego dokończył, strzelił pan Gracyan... Zygmunt siedział na koniu.. ale też przewalił się na krzyże, do góry ręce mu się podniosły i osunął się na ziemię, a koń wyrwał się z pod niego i czwałem popędził w las... Przyskoczył zaraz Dziemba i Borodzicz sam i Rzesiński do Piętki, któremu już krew usty buchała...

Kula przeszyła płuca, weszła gdzieś snadź aż pod krzyże i tam utkwiła. Rana była śmiertelna... Piętka jednakże dyszał, oczyma obracał i niecierpliwie ręką za piersi się rwał... Widok jego wszystek gniew, jaki gdzie jeszcze w piersi wrzał, uśmierzył; przystąpili wszyscy razem do ratunku... do narady co zrobić z jednym i drugim...

— Tylko wy o mnie wcale nie myślcie—rzekł stolnikiewicz — ja tam o swój bok się nie troszczę... dolezę do miasta jakkolwiek to się i wyliżę. Gorzéj z tym... bo go pono prędko trzeba nieść, aby ksiądz go choć na śmierć wydysponował...

— A mówiłem! ręce łamiąc dodał Borodzicz— czułem, że mi przeznaczono go zabić — i wiem czemu!! wiém czemu!! Od swego losu nikt się nie wywinie... Nie mogło inaczéj być!..

Dziemba i Kownacki pobiegli do dworku leśniczego, aby noszów dostać lub materaca dla Zygmunta... Czas naglił... ratunek może był jeszcze jaki, lecz na to trzeba było doktora, któryby ranę opatrzył kulę wyjął, i krew płynącą zatamować umiał. Jeden z czeladzi siadł na koń do miasta aby doktora przywieźć... tymczasem krzątano się w miejscu z jaką taką pomocą. Chory był nieprzytomny, kiedy niekiedy wyrywał się z piersi jego jęk stłumiony, zębami zgrzytał, a odzież rwał... porywał się i opadał bezsilny...

Trzaska tymczasem chusty zebrawszy jakie mógł, sam już się przepasywał, aby krew uchodzącą zawiązać.

Borodzicz był ciągle przy Zygmuncie... stał, patrzał nań i łzy mu się kręciły. Tak godzina upłynęła prawie, z miasta nie było nikogo... Trzaska zabierając jednego ze sług, powlókł się powoli opierając na nim... reszta pozostała przy Piętce. Z tego krew płynęła niemal strumieniem, całe to miejsce gdzie leżał, trawa, kobierzec, bielizna w niéj się spławiły.

Już było około jedenastéj, gdy od miasta zaturkotało: jechał ksiądz Brzeski, wikaryusz królewski, na jednym wozie z doktorem dworskim konsyliarzem Szwarcem.

Ledwie zsiadłszy pośpieszył ku Piętce, popatrzał nań, na krew rozlaną, i głową wahać począł... Podniesiono rannego i suknie na nim dla pośpiechu porozcinano... Doktor macał, patrzał, myślał—ale słowa nie mówił... dopóki kuli w krzyżach gdzieś nie namacawszy, nie ciął skóry i nie wyjął jéj... Bandaże miał w kieszeni; flaszek kilka i różne ingredyencye... W czasie tych operacyj Piętka oczy otworzył, jęknął... zresztą z zaciętemi usty milczał.

Borodzicz radby był spytać doktora lecz konsyliarz Schwarz mówił tylko po niemiecku, a do rozmowy wcale nie zdawał się być pochopny. Ksiądz Brzeski chcąc korzystać z pierwszéj chwili... ukląkł z drugiéj strony rannego i z cicha ku uchu jego szeptać począł modlitwę... aby w nim myśl pobożną obudzić. Z wolna otworzyły się na ten szmer powieki, popatrzał na księdza długo i rękę uniósł chcąc się przeżegnać... niedokończył znaku krzyża... oczy się zamknęły, ręka bezsilna opadła... oddech w piersiach słychać było jeszcze i choć twarz śmiertelna okrywała bladość... żył wszakże. Ksiądz Brzeski spojrzał na konsyliarza takim wzrokiem, jakby się pytał—słów niepotrzebowali — doktor Szwarc głową, oczyma i ramionami pokazał, iż nic stanowczego powiedzieć nie może.

Była więc iskierka nadziei...

Sam doktor na przygotowanym ułożył go materacu, przepisał jak ludzie nieść mieli z ostrożnością — i smutny pochód dobiwszy się do szerokiéj drogi najprostszą skierował się ku miastu.

Noc całą spędziła Elżusia chodząc po pokoju, modląc się, myśląc i nosząc z uczuciami, które się w niéj zmieniały gniewem, żalem i boleścią zmarnowanego żywota. W uszach jéj brzmiało wyzwanie, które słyszała; wiedziała dobrze, iż skutków jego powstrzymać nie potrafi... a obawiała się sama nie wiedziała czego.

Brzydziła się mężem wiarołomnym, od którego na wieki się odłączyć postanowiła; przecież myśl, że zabitym być może, przejmowała ją trwogą... lękała się o stolnikiewicza, o Borodzicza, swojemu nieszczęśliwemu losowi przypisując i tę dolę, że życie ludzkie na sumieniu mieć może. Stryj Eligi z razu nic o wyzwaniu nie wiedział; dopiero rano nie mogąc usnąć, kazała go do siebie prosić Elżusia i opowiedziała mu wszystko. Przestraszony stryjaszek padł na krzesło ręce łamiąc. On już nie wiedział gdzie iść, co robić i jak zapobiedz spotkaniu, które nie mogło być próżném, sądząc po zajadłości przeciwników.

— Matko Bozka, opiekuj się nami! zawołał: otoż! otoż! w cośmy to wleźli! Potrzebneż to było?

Elżusia zmilczała.

— Stryju Eligi, rzekła poczekawszy—idź proszę, przynieś mi wiadomość — niech wiem co się stało—ósma dochodzi...

— Ale dokąd iść? alboż znam? wiem? Bażantarnia! Czy ja wiem gdzie te saskie bażanty...

— Powóz weź, przewodnika—co chcesz! idź! błagała Zygmuntowa.

Stary oprzeć się nie mogąc naleganiu, wziął smutny czapkę i wywlókł się z domu. Sam nie wiedział jeszcze ani kogo użyje, ani jak się dostanie gdzie mu trzeba—snuł się ulicą zrozpaczony i machinalnie modlił.

W tem tentent go rozbudził. Jeden z czeladzi wojewody wysłany po lekarza i po księdza mijał go właśnie.

— Stój! zawołał Eligi — co się tam stało? jeździłeś z Rzesińskim?

— A tak, panie.

— Cóż się stało?..

— No nic — rzekł chłopak—pokrwawili się brzydko... Ten pan co go nazywali Wiór czy Trzaska... w bok przestrzelony.

— Bardzo?



Ks. Aleksy Prusinowski. (97).

— Nic mu nie będzie!... co mu ma być?

— A więcéj? zapytał Eligi.

— Więcéj, to ten drugi, mąż pono jejmości waszéj... jak mu tam Łydka czy Pięta?

— Piętka—cóż Piętce?

Chłopak głową pokiwał.

— Tego to kula wskroś przeszła pono, aż mu kędyś w krzyżach zawięzła. Ten jeśli się wyliże, powinien dać na mszę...

Eligi ręce załamał, stał... ale już posłańca nie było... Wrócił więc ku domowi z wolna, nie mając potrzeby szukać Bażantarni. Nie pilno mu było z tą wiadomością do synowicy, błądził więc po rynku, po bocznych ulicach, i tyłem domu poszedł naprzód dać znać wojewodzie. Po twarzy nieszczęśliwéj stryjaszka poznał wojewoda, że mu coś smutnego przynosi.

Eligi wyszeptał co słyszał naprzód, a potém dodał:

— Co mi, pan łaskawy radzisz? mam jéj pójść powiedzić?

— Lepsza prawda, niż oczekiwanie! rzekł wojewoda — tego, z pozwoleniem, łotra niewielka szkoda...

— A no zawsze on kiedyś był jéj mężem szepnął Eligi; — ale kiedy jaśnie pan powiadasz, że potrzeba jéj oznajmić—pójdę...

Jakoż poszedł. Widząc wstępującego na próg, Elżusia przyskoczyła ku niemu.

— Mów! mów! co wiesz... Zabity?

— Nie, ale podobno niewiele mu się należy— wybąknął Eligi, patrząc w jéj twarz bledniejącą,—przestrzelony na wylot.

— Kto go zabił? spytała Elżusia.

— Miarkuję, że Borodzicz... Trzaska też mocno ranny...

— Gdzie są?

— Muszą być około téj Bażantarni... posłano po doktora i po księdza...

Pani Piętkowa rzuciła się szukając kwefu i płaszczyka.

— A to dokąd? dokąd? zawołał stryj.

— Tam, gdzie teraz miejsce moje... Żywego w oczybym nie widziała, przy umierającym być powinnam...

Stryj Eligi stanął jak wryty...

— Kto te baby zrozumie? rzekł w duchu... Wczoraj tak — dziś inaczéj... Ruszył ramionami.

— Wstrzymajże się asińdźka... niewiadomo dokąd jechać? gdzie? po co? nie uciecze teraz!..

Nic mu na to nie odpowiedziała synowica, z gorączkowym pośpiechem porwała bezprzytomna kwefy, chustki, co znalazła pod ręką.

— Koni! zawołała! koni! Idź stryj... po powóz i po konie! Jeśli ich nie znajdziesz—pójdę pieszo... Ja tam być muszę, tam teraz miejsce moje.

Wielce sklopotany, nic już nie mówiąc, Eligi wyszedł pięścią bijąc się o czoło.

— Teraz koni! teraz jéj trzeba koni!. gdzie ja jéj koni dostanę?

Rozpaczliwemu położeniu nieszczęśliwego w istocie staruszka przyszedł w pomoc, widząc go tak pomieszanym, gospodarz domu, obiecując powóz i konie... Tych bowiem, któremi przyjechali użyć nie było można, połowa była rozkuta, jeden ochwacony.... reszty za prządz do ciężkiéj kolebki nie sposób. Obietnica powozu nierychło się jednak ziściła — dobra godzina upłynęła, nim stanął pod oknami... Elżusia wsiadła doń milcząc i rozkazując jechać drogą ku Bażantarni. Nie długo jednak jechali, bo tuż za miastem spotkali ludzi, powoli na noszach dźwigających rannego... Szedł przy nim Borodzicz, doktor i ksiądz Brzeski. Stryj pierwszy postrzegłszy gromadę, konie zatrzymać kazał. Wysiedli. Nawidok Elżusi Borodzicz szybko się cofnął... Postąpiła ku rannemu, którego ludzie złożyli na ziemi, spojrzała nań i zbladła...

— Mospanie Dziemba, odezwała się cicho,— nieścież go do mojego mieszkania, rozumiesz waćpan?.. Żadnéj wymówki...

Spojrzała na lekarza, ten wpatrywał się w nią też z ciekawością niezmierną, ale oczyma nic o chorym powiedzieć nie chciał. Zbliżył się ksiądz.

— Mój ojcze... co lekarz powiada? spytała cicho...

— Mówi, że Bóg czyni czasem cuda... odparł wikary.

Jakkolwiek cicho szeptała Elżusia, chory oczy otworzył, powiódł niemi do koła, zatrzymał je

chwilę na żonie i drgnął cały... Otworzył je powtórnie... jakby wzrokowi nie wierzył, i zamknął znowu nie dając już znaku czucia. Ludzie podnieśli nosze... i zwolna szli ku miastu... Elżusia

Tłum ludzi, cisnących się na to smętne widowisko, towarzyszył im aż do wrót samych.

(d. c. n.)

wdziękiem i dźwiękiem języka. Poczucie przedmiotu, nawet w założeniach dramatycznych lub epickich, dopuszcza liryczny odcień w formie skoro się ten znajduje w treści zadania: tu mamy



LISTKI LEŚNE, Obraz Andersona. (98).

nie odstępowała od nich... i razem z nimi pieszo, w milczeniu, zakwefiona... nie okazując nic po sobie, choć się pod nią nogi chwiały... doprowadziła chorego do gospody...

LISTKI W LESIE

Liryzm w malarstwie posługuje się powabami barw w równie przeważnéj mierze jak w poezyi przed oczyma malarski pomysł czysto lirycznéj treści, widzimy też że autor obrazu purpurową barwą zachodzącego słońca, starał się dać swéj myśli szatę odpowiednią zadaniu. Dwoje dzieci

może dwoje sierot, rzucone w świat jak liście jesiennym wiatrem popychane skupiają na sobie i na zdobiących je purpurowych i pożółkłych listkach, purpurowo złotawe barwy zachodu. Oto związek wewnętrzny, skojarzenie w jedności formy lirycznéj, dwojgu postaci wiejskiego ustronia z barwami i losem leśnych listków.

NIEWIASTY W XIV WIEKU.

Ustęp z dziejów obyczajów średniowiecznych.

przez **Wł. Chomętowskiego.**

II.

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 19).

W rzędzie szlachty nie posiadającéj własności, byli w znacznéj części skartabelle, zwani inaczéj włodykami, którzy pozostawali w usługach panów. Mieli oni prawo rycerskie, ale jak wskazaliśmy wyżéj, stanowili niższą warstwę rycerskiego społeczeństwa. Na mocy statutu Ziemowita IV, szlachcic za zabicie włodyki płacił tylko karę pieniężną; przeciwnie włodyka za głowę szlachcica opłacał się podwójnie i musiał nadto uczynić akt pokory, w następujący sposób: „Staje nago, chusty opuściwszy do pasa, z mieczem obnażonym w ręku, w towarzystwie dwunastu innych, i prosi, ażeby mu odpuszczono winę.“

Zauważymy, że w XIV wieku odznaczał się tylko wykształceniem stan kapłański i możniejsi obywatele kraju. W ogóle szlachta, zwłaszcza biedniejsza, nie wyróżniała się o wiele od kmieci wykształceniem i obyczajem. Zdarzało się też często, że szlachcic zasiadał w karczmie z kmieciem przy stole, grając z nim w kości lub gwarząc przy kuflu miodu lub piwa. Ztąd w statucie mazowieckim powiedziano: „że jeżeli szlachcic grając w kości lub pijąc, raniony zostanie przez kmiecia, tenże taką samą płaci karę jakgdyby ranił równego mu urodzeniem kmiecia.“

Pomimo szorstkich obyczajów i słabo nader promieniejącéj oświaty, usiłowania Kazimierza Wielkiego, na drodze podniesienia moralnego i materyalnego bytu nie były bezowocne. Wioski w XIV wieku, po strasznych klęskach tatarskich najazdów zeszłego stulecia zaludniały się i rozkwitały swobodnie. Dzięki sprężystéj sprawiedliwości Króla Chłopków, znikały bandy rozbójników, którzy ukrywając się w nieprzejrzanych lasach lub niedostępnych jaskiniach sieli postrach pomiędzy spokojnymi mieszkańcami wiosek i rabowali ich dobytek i plony. Jak w miastach tak i w siołach powstawały owocowe ogrody i piękne winnice. Zamki murowane, siedziby możnych, jednocześnie z zamurowaniem miast i wzrostem narodowéj pomyślności, mnożyły się od czasów Kazimierza Wielkiego. Nie sądźmy atoli, ażeby zamki te najeżone basztami, otoczone murem i rowami odznaczały się wewnątrz ilością i obszernością komnat lub przyborem. Mieszkanie najzamożniejszego pana składało się z trzech lub czterech pokojów szczupłego rozmiaru. W obrębie większych zamków znajdowały się budowle dworskie, jako to: stajnia, obora, mieszkanie czeladzi i załogi zamkowéj, nakoniec oddzielny budynek lub komnata przeznaczona na łaźnię. Wcelu obrony przeciwko najazdom opasywano zamki murem, wałami i głęboką fossą ze zwodzonym mostem. Brama opatrzona była częstokroć żelazną kratą, którą spuszczano na nieoględnego nieprzyjaciela. Tak zginął znakomity rycerz Fryderyk Wedel, wchodząc do złotoryjskiego zamku, w epoce zdobycia go przez Władysława Białego księcia gniewkowskiego za panowania króla Ludwika.

Najliczniejsza mniéj zamożna szlachta mieszkała w drewnianych dworach okolonych z jednéj strony ogrodem, z drugiéj dziedzińcem i budowlami gospodarskiemi. Budynki dworskie jako też sady i pasieki ogrodzone były starannie. Wjeżdżano przez jedyną bramę, którą zamykano przed napaścią za nastaniem zmroku, a nawet i we dnie, skoro zagrażali najazdem niespokojni sąsiedzi lub ukrywający się w pobliżu rozbójnicy.

Rzuciwszy okiem na powierzchowność dworów i zamków naszych w XIV wieku, przejdźmy do wizerunku niewiasty, uważanéj jako dziewica, następnie żona i matka.

Zauważyliśmy wyżéj, że romansowe cechy średniowiecznego rycerstwa na Zachodzie, owe modne sentymentalne role kochanków, nie miały w ogóle pola w obyczaju naszych przodków. Rycerz polski tak XIV wieku jako i późniejszych czasów, jakkolwiek był czułym na wdzięki niewieście, w okazywaniu swych sentymentów bogdance nie szukał popisu i sławy. Niewidzimy też u nas owych błędnych rycerzy, którzy z godłem ubóztwianéj piękności przepędzali niekiedy młodość całą w poszukiwaniu przygód na polu walki i w turniejowych popisach. Ostatecznym celem miłości naszych rycerzy, była myśl poślubienia oblubienicy, przy stopniach ołtarza, i takie jedynie uczucie uważano za godziwe i zacne. Najromantyczniejsi rycerze nasi, o których dawne wspominają kroniki, odznaczają się miłością dla swych małżonek. Tak Władysław Biały książę gniewkowski, przejęty srogą boleścią po stracie ubóztwianéj żony, porzucił dziedziczne księztwo, i wziąwszy kij pielgrzyma, puścił się w podróż do Ziemi Świętéj. Andrzéj z Tęczyna, w czasie wojny Władysława Jagiełły z Krzyżakami, zatęskniwszy do młodéj i pięknéj żony Anny z Kraśnika, nakłonił wielu rycerzy do powrotu, zatém zmusił króla do odstąpienia od oblężenia Malborga. Niekiedy zawiedzione uczucie miłości małżeńskiéj do gwałtownych popychało czynów. Ziemiowit książę mazowiecki syn Trojdena miał dwie żony. Jedna była córką Mikołaja księcia opolskiego, z którą spłodził synów Janusza i Ziemowita, druga była córką księcia sambieńskiego. Ta odznaczała się nadzwyczajną urodą. Wkrótce atoli po ożenieniu doszła wieść do uszu księcia o zdradzie żony. Siostra Ziemowita księżna cieszyńska doniosła mu, że właśni jego słudzy przekonali się o potajemnych schadzkach i związkach miłosnych księżny z pewnym rycerzem. Wiedziony podejrzeniem małżonek zarządził śledztwo i rozpoczęto badania. Służebnice wyparły się wszystkiego i nawet na torturach nie uczyniły żadnego wyznania krzywdzącego oskarżoną. Skoro jednak powiła księżna syna, wiedziony podejrzeniem Ziemowit, wydał rozkaz uduszenia małżonki, co natychmiast spełniono. Urodzonemu dziecięciu nadano imię Henryk. Wzięła go na wychowanie wdowa po Kazimierzu księciu dobrzyńskim, siostra Ziemowita. Skoro podrósł chłopiec, ojciec dostrzegłszy podobieństwo swego oblicza w jego rysach, przejęty ogromną boleścią przyjął go za syna, w myśli zaś przebłagania Niebios za popełnioną zbrodnię, przeznaczył go do stanu duchownego. Według ówczesnego zwyczaju, dziesięcioletni Henryk otrzymał probostwo płockie, po śmierci zaś ojca przeznaczyli dlań bracia wakujące biskupstwo. Było to w czasie, kiedy Władysław Jagiełło powodowany radą królowéj Jadwigi, skłaniał się do pojednania z bratem stryjecznym Witoldem. Otóż zwrócono oczy na Henryka, jako spokrewnionego z Witoldem przez ożenienie brata Janusza z Witoldową siostrą, i poruczono mu spełnienie poselstwa. Na początku 1392 roku wybrał się Henryk i stawił się najprzód przed komturem krzyżaków z Christborga. Ten odesłał go do zamku Ritterswerder nad Niemnem do księcia Witolda. W tymże czasie wróciły niedawno żona i siostra księcia pozostawione w zakładzie u Krzyżaków. Witold przyjął uprzejmie Henryka i spisał z nim warunki przymierza. Poseł Jagiełły i Jadwigi, w ciągu krótkiego pobytu na dworze Witolda, zapłonął tak silną miłością dla siostry jego Ryngajły, że poprosił o jéj rękę i wyrzekł się godności biskupiéj, nie czując do stanu duchownego powołania. Henryk nie odebrał jeszcze święceń kapłańskich, więc naglił o przyśpieszenie ślubu, odkładając na czas późniejszy starania o dyspensę z postanowienia, które było wypływem nie własnych jego skłonności, lecz woli ojca. Witold nie czynił skrupułów zgodnie z życzeniem zakochanego wyprawił córce wesele, które obchodzono hucznie w ciągu trzech tygodni. Zjazd w Ostrowiu 1392 roku w połowie lata zapieczętował układy Jagiełły z Witoldem, spisane poprzednio w Ritterswederze.

Wspomnieliśmy wyżéj, jak często spory w panujących i prywatnych rodach, a nawet krwawe i zacięte walki zawieszano i godzono pod wpływem kojarzącéj się węzłem małżeńskim młodéj pary. Nie będziemy tu powtarzali szczegółów licznych w rodzinach książęcych swatów, z których okoliczności wkładano miecz do pochwy i zapominano urazy. Wiadomo też jest powszechnie, że związki ślubne przyśpieszyły nawrócenie Litwy. Kronikarz litewski (u Narbutta str. 20) opowiada nam, że za panowania Olgierda, wojewoda wileński Gastold winien był nawrócenie swe gorącéj miłości, którą w nim obudziła piękna córka pana Buczackiego. Kiedy był Gastold wojewodą kamienieckim, nawiedzał często dwór jego, zatem oczarowany wdziękami panny, prosił o jéj rękę. Buczacki rzekł na to: „Chętniebym dał ci córkę, ale jakoś nie wypada wydawać córkę chrześciańską za poganina; lecz ochrzcij się w wierze naszéj, a ja natenczas przyjmę cię za zięcia. I starosta kamieniecki Gastold ochrzcił się w lackiéj wierze i dali mu imię Piotr. I niedługo potém dał kniaź Olgierd Piotrowi Gastoldowi Wilno. I gdy był w Wilnie, sprowadził z lackiéj krainy do Wilna 14 mnichów Franciszkanów i założył za zezwoleniem wielkiego księcia klasztor.

Wspomniawszy o miłości owych czasów, musimy zastanowić się jeszcze nad towarzyskiemi stosunkami i obyczajowością niewiast.

Sądząc z niektórych danych, jak np. z romansowych dziejów Kazimierza Wielkiego, następnie z oskarżeń, któremi spotwarzano pewne księżniczki i królowe, możnaby słusznie poniekąd wyprowadzać wnioski o wielkiém rozwolnieniu w obyczajach i swawoli owéj epoki. W istocie znane i aż nazbyt głośne miłostki króla Kazimierza nie są wskazówką surowych obyczajów, równie jak opowieść Archidyakona Gnieźnieńskiego o śmierci biskupa Zawiszy i t. p.

(d. c. n.)

KSIĄDZ ALEKSY PRUSINOWSKI.

Urodził się roku 1819 w Gostyniu, mieście Wielkiego Księztwa Poznańskiego. Nauki po-

bierał w gimnazyum Leszczyńskiém, i ukończywszy tutaj zawód szkolny, wstąpił, poświęciwszy się stanowi duchownemu, do seminaryum w Poznaniu i Gnieźnie, a następnie słuchał teologii we Freiburgu badeńskim, gdzie zarazem zyskał kwalifikacyę na professora nauk filologicznych, w gimnazyach całych Pruss i Niemiec. Wyświęcony na kapłana w r. 1844, rozpoczął zawód swój duchowny jako wikaryusz przy kościele farnym w Poznaniu, zawód pedagogiczny równocześnie jako nauczyciel języka łacińskiego, greckiego i religii w gimnazyum poznańskiém św. Maryi Magdaleny. Na tém stanowisku pozostał aż do roku 1846. We dwa lata póżniéj rozszerzyła się jego działalność przez poświęcenie się zawodowi politycznemu i publicystycznemu. Wybierany odtąd ciągle przez kilkanaście lat następnych na deputowanego do sejmu pruskiego, odznaczał się jako wytrawny mówca parlamentarny. Redagując równocześnie kilka pism ludowych, późniéj nieco przez lat kilka *Tygodnik Katolicki*, złożył świetne próby jako utalentowany publicysta, przekonywający wymowną prostotą, — odzywając się do ludu, wznoszący się do najwspanialszych wyżyn stylu polskiego, odzywając się do publiczności światlejszéj i wyżéj ukształconéj. Pięknym pod tym względem pomnikiem byłyby mianowicie zebrane w całości kazania jego i mowy, pośród których przyznalibyśmy może pierwszeństwo pięknemu jego przemówieniu na obchodzie żałobnym śp. Adama Mickiewicza, w kościele św. Marcina w Poznaniu r. 1856. Na podobne uznanie zasługuje jego pamiętna mowa na zebraniu katolików niemieckich we Freiburgu badeńskim, którą następnie, w r. 1862, w polskim ogłosił przekładzie. Mianowany w r. 1857 przez śp. arcybiskupa Przyłuskiego proboszczem w Grodzisku, pozostawał na tém stanowisku aż do r. 1866, w którym to roku ciężką złożony chorobą, schnięciem kości pacierzowéj, przeniósł się na kuracyę do Poznania. Słabość niestety! okazała się nieuleczoną. W strasznych boleściach i męczarniach [illegible] opisania, przepędził kilka łat życia nie[illegible]go już do umysłowéj pracy i do żadnego [illegible]niejszego zajęcia. Osiadłszy na ostatku w domu Siostr Miłosierdzia w Poznaniu, zakończył nareszcie życie, w nocy z dnia 12 na 13 lutego r. b. Pogrzeb jego odbył się wśród licznego udziału publiczności, we trzy dni późniéj, w mieście Grodzisku. Społeczność nasza utraciła w zmarłym księdzu Prusinowskim znakomitego publicystę, prawego obywatela, umysł czynny i niezmordowany w pracy publicznéj.

Cześć jego pamięci!

KORESPONDENCYA.

Lwów w Marcu.

Najznakomitsi ekonomiści naszego czasu przyszli do przekonania, iż najpewniejszym środkiem do zapobieżenia przewrotom socyalnym, wynikającym ze stosunku pomiędzy przedsiębiercą i właścicielem a robotnikiem, pomiędzy majstrem a czeladnikiem, jest przypuszczenie tych ostatnich do pewnego udziału w zyskach przedsiębierstwa, czyli pewna tantjema od czystego dochodu, płacona robotnikowi w miarę ile się tenże pilnością swą i sumienną pracą do tych korzyści przyczynił. Jest to najlepsze lekarstwo na zobopólne niechęci, zatruwające stokroć stosunek pomiędzy przedsiębiercą a robotnikiem. Tu we Lwowie doznaliśmy także w ostatnich latach smutnych następstw takiego stanu rzeczy. Gdzie w warsztacie rzemieślniczym zagnieździ się obopólna niechęć pomiędzy właścicielem warsztatu a jego czeladzią, wynikająca z rzeczywistéj czy mniemanéj niestosowności, pomiędzy wysokością zysku z pracy a wynagrodzeniem tych, którzy na ten zysk pracowali — tam już i praca idzie nieskoro i wyrób nie może być dobry, a cóż dopiero jeżeli przyjdzie do tego, iż jedna strona na drugiéj oporem wymódz dla siebie usiłuje korzystniejsze warunki. Otóż konkurencya, współzawodnictwo jest jedynym zbawiennym środkiem, jako w ogóle we wszystkich stosunkach przemysłowych. Współzawodnictwo wymusza udoskonalenie wyrobu, zniżenie cen, lepszą pracę i podwyższenie wynagrodzenia robotnika. Współzawodnictwo podobnie jak potęga moralna, siła ducha i myśli zastępuje siłą brutalną i potępia jéj skutki. Rzucono tu myśl, która się przyjęła i została już wykonana, aby założyć wyrobnię krawiecką wspólnym kosztem w drodze stowarzyszenia. Zebrane razem oszczędności uczęstników spółki, uczyniły dostateczny kapitał funduszowy do rozpoczęcia i prowadzenia przedsiębierstwa na większy rozmiar i z widokami pomyślnych wyników. Każdy czeladnik krawiecki może być przyjęty do spółki, skoro pilnością swą zaoszczędził sobie pewną kwotę, dającą mu możność przystąpienia do spółki, lub życzy sobie pracować w warsztacie przedsiębierstwa. Tym sposobem współka z jednéj strony spółzawodniczy z monopolem wygórowanych żądań majstrów krawieckich, tak w obec publiczności jak i zatrudnionéj w ich warsztatach czeladzi, z drugiéj jest niejako pewnym rodzajem azylu, do którego każdy pilny i pracowity czeladnik w razie opuszczenia lub braku roboty udać się i zajęcie uczciwie wynagrodzone w miarę zdolności i pilności swojéj znaleźć może. Jeszcze i w inny sposób spółka takowa przyczynia się do podniesienia przemysłu krajowego i do wygody publiczności. Oto w ostatnich latach, korzystając właśnie z przykrego położenia, w jakiém się nasz przemysł krawiecki, częścią z ogólnych powodów finansowych, częścią z powtarzających się owych sporów warsztatowych, znajdował, namnożyło się tutaj składów z gotową odzieżą sprowadzaną z wiedeńskiéj tandety, lichego gatunku i wyrobu, wabiącą kupców powierzchownością łudzącą i pozornie niską ceną. Publiczność padała ofiarą tych złudnych pozorów i przepłacała wyrób lichy, za który ogromne wychodziły tym sposobem z kraju pieniądze. Zadaniem tedy zawiązanéj obecnie spółki krawieckiéj jest zarazem położyć koniec temu wyzyskiwaniu publiczności przez obcych spekulantów. Mając znaczny fundusz do rozporządzenia jest ona w możności nabywania materyałów swoich w większéj ilości, a zatém po cenach pierwotnych, z najlepszych fabryk zagranicznych, z czego wynika, iż będzie w stanie dostarczać publiczności wyrobów najlepszego gatunku po niższych cenach, niżeli obecnie tandeciarze zagraniczni dostarczali wyrobu złego. Jeżeli tedy tylko rzecz będzie prowadzona dobrze i umiejętnie, to z pewnością pociągnie ku sobie publiczność i okaże pomyślny bilans dochodów.

Idąc za przykładem, krawców drukarze nasi chcą także uczynić podobnie. Mają oni od dawna kassę pożyczkową, utworzoną ze składanych co tydzień oszczędności. Fundusz ten, z którego uczęstnicy stowarzyszenia czerpią zasiłek w razie choroby lub braku zajęcia pod przystępnemi warunkami, umarzając pożyczkę częściowemi tygodniowemi spłatami, wzrósł już obecnie do znacznéj summy. Stowarzyszeni powzięli pomysł założenia drukarni, do czego pobudką w téj chwili stała się ta okoliczność, iż rząd postanowił zwinąć i sprzedać istniejącą tu od lat wielu drukarnię rządową, albowiem obliczono, iż powierzanie druków rządowych drukarniom prywatnym mniéj będzie kosztowało. Nada się więc sposobność zakupienia po cenie zniżonéj, bardzo umiarkowanéj kilku prass w doskonałym znajdujących się stanie i całego inwentarza drukarskiego. Pozostałoby tylko postarać się o nowe czcionki i drukarnię urządzić na stopę odpowiednią wymaganiom dzisiejszéj typografii, a możnaby istotnie rokować przedsiębierstwu powodzenie, jeżeli, rozumie się, będzie dobrze prowadzone. Drukarnie tutejsze przynoszą ogromne zyski, chociaż jest ich dziewięć czy dziesięć, między temi kilka wyłącznie hebrajskich. Te mianowicie są zarzucone robotą, i nikt by nie uwierzył, nie przekonawszy się z blizka, jak ogromna ilość ksiąg hebrajskich, mianowicie religijnych, drukuje się we Lwowie i ztąd w świat rozchodzi.

W ciągu ubiegłego miesiąca zajęły uwagę umysłowych kół publiczności tutejszéj odczyty na dochód Zakładu sierot. Dawniéj miewaliśmy ich wiele każdéj zimy, ale że właśnie dla téj ich liczby nie zawsze jakość odpowiadała ilości, że nie zawsze dobierano przedmioty stosowne do wykładu z natury rzeczy urywkowego, tak, aby w szczupłym zakresie popularnego odczytu ująć i jasno przedstawić zamkniętą w sobie, zaokrągloną całość podjętéj kwestyi, że nie wszyscy prelegenci posiadali dar odpowiedniego temu celowi wyłuszczenia rzeczy, więc z czasem odczyty podobnego rodzaju straciły wziętość u nas, aż coraz większe pustki w sali wykładu przekonały wreszcie, iż rzecz się przeżyła i trzeba jéj na jakiś czas przynajmniéj zaniechać. Utrzymały się zatém téj zimy tylko wykłady dla kobiet i wykłady w Stowarzyszeniu rzemieślniczém „Gwiazdy"; ale i jedne i drugie mają inny zupełnie charakter i inne przeznaczenie, są bowiem urządzone systematycznie, aby zastąpić szkołę i mają pewny ciąg wytkniętym programem. Był więc w tém poniekąd rodzaj odwagi cywilnéj kusić się przy takiém usposobieniu, a raczéj przesyceniu publiczności, o urządzenie szeregu nowych wykładów dla szerszéj publiczności, w przedmiotach rozmaitéj treści zaczerpniętych, z rozmaitéj dziedziny nauk i literatury. Rzeczywiście tylko dobór przedmiotów, mogących zająć nowością lub ważnością swą i wybór prelegentów był w stanie zapewnić powodzenie wykładom i przezwyciężyć obojętność publiczności, co się też w pełnéj mierze stało. Dotąd było wykładów cztery, a na każdym z nich liczne zebrało się grono słuchaczów. Pierwszy wykład miał profesor Małecki i mówił o runach słowiańskich, wziąwszy sobie za zadanie udowodnić, iż znane bałwanki prillwickie bożków słowiańskich, są falsyfikatem, którym jakiś Niemiec zmistyfikował świat naukowy przy końcu XVIII wieku. Autentyczność posążków wykopanych pod Prillwie, podejrzywano już oddawna. Znana to była rzecz i Lelewelowi, który, jak wiadomo, poświęcił tym posążkom obszerną rozprawę i wiele nader ważnych i ciekawych rzucił z tego powodu poglądów i wniosków co do wyobrażeń mitologicznych i w ogóle cywilizacji starożytnych Słowian. Drugi z rzędu prelegent p. Władysław Łoziński, powieściopisarz, mówił o życiu towarzyskiem w Galicyi, w ostatnich dziesiątkach ubiegłego stulecia. Przedmiot zajmujący, zwłaszcza dla nas tu w Galicji, któréj stan owczesny usiłował Łoziński w urozmaiconym skreślić

obrazie. Przedmiotu dostarczyły mu poszukiwania, jakie robił dla poznajomienia się z ową epoką, pisząc swą powieść: *Pierwsi Galicyanie.* Trzeci wykład miał Stanisław Tarnowski, professor Uniwersytetu Jagiellońskiego, zaproszony umyślnie w tym celu z Krakowa: *O wpływie Towarzystwa przyjaciół nauk.* Z wytworną swadą przedstawił on wszechstronny kierunek działań Towarzystwa i skreślił po krótce w głównych punktach przebieg jego dziejów. Następnie czwarty prelegent dr. med. Rudnicki mówił: *O Hygienie w stosunku do państwa i społeczeństwa.* W tych dniach odbędzie się piąty, ostatni z szeregu zapowiedzianych, wykład p. Sawczyńskiego, który będzie mówił *O wychowaniu publicznem w Anglii.* (d. c. n.)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Broń niewieścia.

Komedya w jednym akcie *Benedixa*, z niemieckiego przerobiona.

(Pierwsze przedstawienie dnia 6 marca r. b.)

Jeden z bohaterów elektryzującego dzisiaj Paryżan Ruy-Blasa, zmuszony zrobić ważne ze swych zasad ustępstwo mile proszącéj go o nie królowéj, powiada gniewając się sam na siebie:

„Dieu s'est fait homme,—soit;—le diable s'est fait femme!"

Podobne zwycięztwo nad wolą i postanowieniem mężczyzny zdobywa uroczy dyablik, wcielony na ten raz w pannę Popielównę pod imieniem *Andzi.* Walka odbywa się w nader ścieśnionych szrankach, między dwoma tylko zapaśnikami.

Andzia jest sierotą na opiece wuja, p. *Serwacego* (p. Rapacki), i kocha młodego lekarza, który stara się o jéj rękę. Ale pięćdziesięcioszeście letni p. Serwacy, archiwista sądu kryminalnego, stateczny i dbały o przyszłość swéj siostrzenicy opiekun, widzi niebezpieczeństwo dla niéj w połączeniu się z młokosem, i sam go zastąpić pragnie. Andzia oczywiście odmawia: jest mnóstwo sposobów pozbycia się starego opiekuna, ale młoda istota nie chce widocznie uciekać się do ostatecznych, owszem, zmierza do tego, ażeby starego postrzeleńca zmusić do dobrowolnego zrzeczenia się zamiaru i zyskać jego zezwolenie.

Autor nie korzystał z przykładu Bartola i wszystkich wodewilistow co poszli w jego ślady, nie wprowadził żadnéj intrygi, lecz zawarł się w prostym dyalogu, który potrafił wewnętrznemi przymiotami udramatyzować. Jego Andzia tém się różni od Rozyny i tym podobnych, że żadna jéj pomoc nie przychodzi z zewnątrz nawet od kochanka;—tryumf ma ona zawdzięczać saméj sobie, z pomocą naturalnéj tylko *niewieściéj* broni. Im subtelniejsza jest ta broń, tém delikatniéjsze zadanie autora i aktora.

Walka odbywa się we cztery tempa, z prologiem. Przy niespodziewanych oświadczynach Serwacego, Andzia po chwili nagłego zdumienia, zaczyna się śmiać już to z dziwactwa saméj propozycyi, już też ztąd, że jej jeszcze nie bierze na seryo. Ale gdy Serwacy zaczyna na prawdę odsłaniać coraz groźniejsze baterye przewagi stosunku i stanowiska, wtedy i ona odcina się naprzód oburzeniem. Broń ta nie skutkuje; zmienia ją więc na inną i zaczyna się przymilać, urokiem prośby malując całe szczęście swoje gdyby wuj na nie zezwolił. Ale broń ta za nadto jest giętką i obosieczną, i zwraca się przeciwko niéj saméj; gdyż Serwacy mięknie wprawdzie, rozchmurza się, lecz właśnie cały ten urok, jaki otacza proszącą dziewicę, czyni mu ją tém pożądańszą;—za nadto ukazała mu się piękną, aby ją miał ustąpić drugiemu. Wtedy dziewica zamyka się w milczącém zadąsaniu, które do niecierpliwości doprowadza starego aspiranta: tu autor trafnie uchwycił ten fakt, że ponure i zadąsane oblicze kobiety w domu jest męczącém dla mężczyzny zwierciadłem. Serwacy wolałby nie wiedzieć jaką burzę ze strony Andzi, niż ten milczący wyrzut, który ciągle się doń plecami odwraca. Czujemy, że blizki jest kapitulacyi, czuje to i Andzia; więc żeby zadać ostatni a stanowczy cios chwiejącemu się nieprzyjacielowi, uderza najskuteczniejszą bronią niewieścią, która jako potężna rozerwa używa się tylko w ostatecznych razach:—rzuca się do płaczu. Serwacy zwyciężony, poddaje się i przyjmuje wszystkie warunki zwycięzcy.

Bo i jakże tu się oprzeć takiemu przeciwnikowi, co każdą z tych broni włada z taką wrodzoną pewnością jak panna Popielówna? Śmiech jéj może nie jest jeszcze dość szczerym, bo rozwesela wprawdzie, ale nie porywa; za to przy jéj płaczu, ze śmiechu trzeba trzymać się za boki. Poruszenia jéj, przypominające motyla co krąży nad kwiecistemi główkami krzaka; jéj uśmiech wiosenny, głos władnący wszystkiemi tonami pieszczoty, wszystko to złożyło się na uczynienie Andzi naiwném i pełném naturalności dzieckiem. W duecie tym, gdzie prym wiolinowy należy pannie Popielównie, rola p. Rapackiego zredukowana została do bassowego akkompaniamentu; aleź i ten po mistrzowsku wykonał swoje sola. Przedziwna jego fizyonomia, w nieustanném zostająca ruchu, z pomocą umiejętnie obrachowanych gestów utworzyła prawie typową postać zawiędłego biuralisty, dodała nowy numer do liczby tych figur, któremi p. Rapacki scenę naszą ożywił. Powodzenie sztuki zupełne, dzięki nietylko już grze artystów, ale i zasłudze autora, który poddał im stosownie żywotny materyał. Wyboru téj wykwintnéj drobnostki, w któréj jedna tylko scena dąsania jest nieco za słabą a przez to przydługą, możemy powinszować dyrekcyi; liczniejszy poczet podobnych mógłby może oczyścić scenę z bezbarwnych lichot, które od tak dawna dręczą uszy słuchaczów.

Benedix znalazł dobrego tłómacza w języku polskim. Przestosowanie téj drobnostki do miejscowości naszéj uważamy za właściwe, témbardziéj, że nic w niéj nie ma takiego, coby w oryginale nosiło szczególną barwę miejscowości, gdzieindziéj niezrozumiałą lub obcą. Rzecz odbywa się na tle stosunków czysto psychicznych.

TYPY LUDOWE Z GUBERNII GRODZIEŃSKIEJ.



Rysował z natury Wł. Dmochowski.

OD REDAKCYI.

Wieniec wychodzić będzie w drugim kwartale 1872 roku w tym samym formacie i treści, jak dotąd **dwa razy na tydzień** jak najregularniéj **we Wtorek i Piątek** każdego tygodnia.

Prenumerata w Warszawie wynosi:

rocznie rs. 5 k. 40.
półrocznie rs. 2 k. 70.
kwartalnie rs. 1 k. 35.
miesięcznie k. 45.

Na prowincyi i w Cesarstwie:

rocznie rs. 8.
półrocznie rs. 4.
kwartalnie rs. 2.

Dla uniknięcia zwłoki w ekspedycyi uprasza się o jaknajspieszniejsze nadsyłanie prenumeraty.

Dla ułatwienia pp. Prenumeratorom wczesnego i bezpośredniego znoszenia się z Redakcyą, dołącza się do dzisiejszego numeru Wieńca *Listy zwrotne*, w których tylko pozostają do zapełnienia miejsca na oznaczenie czasu, przez który trwać ma prenumerata, na zapisanie adresu i na wypisanie kwoty pieniężnéj na prenumeratę nadsyłanéj.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 28 Февраля (11 Марта) 1872 г. **Redaktor**, Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.